

Tlaton Quoreftar poprawił zbyt luźno założony na ramieniu opatrunek. Tryntyjka, która zajmowała się raną, chyba bała się chyba za mocno ścisnąć bandaż. W sumie nawet nie był zdziwiony. Po ostatnich wydarzeniach wśród Tryntyjczyków panowało zrozumiałe przygnębienie i rezygnacja.

Oficer rozejrzał się, mrużąc oczy od październikowego, nisko świecącego słońca. Porządkowano właśnie warownię po ostatniej bitwie, teraz chyba już nic nie stanie na przeszkodzie, by wszystko odbyło się jak należy.

Za kilka godziny przyjedzie tu orszak Halfdana Borgh Du i Brynjolf Gunnarson ze swoimi przybocznymi, zostanie podpisany rozejm. Odruchowo spojrzął ku górującej nad doliną fortecy, której zarys wyraźnie odcinał się od nieba widoczny z placu.

Nie zdobyliśmy fortec, pomyślał. To zły omen i zły przykład. Właściwie nie był pewien, czy przypadkiem nie należało jednak poświęcić ludzi, ale dać przykład światu, taki powtarzany z grozą przez pokolenia. Brzydził się tą myślą i strząsnął ją z siebie ze złością. Tym, co musiał zrobić parę godzin temu, także się brzydził. Zabić dzieciaka na oczach matki, żeby uzyskać przewagę w walce... Pokręcił głową, jakby nie dowierzał we własne czyny. Ale tak musiało być. Na luksus czystych rąk mało kogo stać na wojnie. Śmierć jednego często ratowała od śmierci tysiące, tak też miało być tym razem. Niczym rytualna ofiara, niczym krew przelewana w dawnych czasach w imię ocalenia świata.

Słońce żywi się krwią, którą chłepcze jaguar o podwójnej twarzy.

Nikt nie ujdzie przeznaczeniu, bo każdego miejsce już dawno przygotowane....

Oddaj pokłon nowym władcom ziemi...

Zadrzał.

Słońce wciąż było białe złociste, nie krwawe. Jak człowiekowi pojąć to, co dzieje się między bogami...

Z zamyślenia wyrwał go hałas przy bramie. Qorykohynaq zawzięcie kłócił się tam z kimś nowoprzybyłym, w którym tlaton domyślił się wysłanego poprzednio oddziału zaopatrzeniowego. Z ciekawości, a nie chcąc się przepychać wśród własnych żołnierzy, wszedł na wartownię.

Pod bramą stała kilkunastoosobowa kolumna tryntyjskich cywilów, z których większość taszczyła jakieś wory lub kosze, zawierające w większości żywność. Jednak kilka worków zawierało zawartość, która ewidentnie brzęczała za bardzo nawet jak na suchy chleb. Przy jednym z takich worków Qorykohynaq wymachiwał przed nosem jednemu z szeregowych żołnierzy wyciągniętym z worka złotym naszyjnikiem.

- Jesteś wojownikiem czy rabusiem? Udzieliło ci się od końskich synów, co? Kto udzielił pozwolenia, szlag jasny by was trafił! A one to niby co?

Quoreftar dopiero teraz dostrzegł, że kilka kobiet nie miało ładunków i było stanowczo zbyt ładnie ubranych jak na tragarzy. Stały spłoszone w kącie przy bramie, z opuszczonymi oczami. Zgrzytnął zębami. W odruchu chciał zejść i zainterweniować, ale jego oficer poradził sobie bez tego.

- Odprowadzicie je do wioski, psiakrew! Do ich rodzin. Bez dyskusji, nawet nie otwieraj paszczy... – głos wojownika zasyczał niebezpiecznie przez zaciśnięte zęby – I żebym nie musiał cię rozliczyć z tego rozkazu... Marsz! Żywność do magazynu. Kosztowności oddać cywilom. Głuchy jesteś? Raz!

Dopiero, kiedy żołnierze zajęli się realizacją rozkazu, odwrócił się do bramy. Dostrzegł komendanta warowni na schodach wieżyczki i podszedł tam. Jego uniesione brwi i zaciśnięte w grymasie usta nie mówiły niczego dobrego.

- Tlatone, nie utrzymamy tego dłużej – powiedział cicho – Ludzie żądają nagród, rekompensaty za wszystko, co przeszli na froncie. Zwłaszcza, że patrzą na Samnijczyków, którym wolno więcej i którzy śmieją się nam w twarz.

- Chyba sam nie wierzysz w to co mówisz... – Quoreftar potarł dłonią czoło – Mam pozwolić na swobodę wobec ludności?

- Tego nie powiedziałem. Mówię tylko, że coraz ciężiej jest uzyskać kontyngenty żywności i coraz ciężiej jest utrzymać ludzi za wodzy. Są wściekli i trudno im się dziwić. Nie powinniśmy ryzykować buntu z powodu paru chłopskich panien.

- To się zaraz skończy, ruszamy na południe. Tan sobie poszaleją. Tu zostaną nieliczne wojska, ale muszą mieć rozbrojeni i posłuszny kraj, a nie wściekłe hordy górali.

- To powinno chyba zakończyć podpisanie rozejmu, prawda...?

- Prawda – tlaton zamyslił się – Myślisz, że Brynjolf i jego przybocznicy przybędą...?

- Nie wiem – odparł szczerze Qorykohynaq – Dla mnie to nieprzewidywalny człowiek, ale na niczym mu tak nie zależy jak właśnie na bezpieczeństwie ludności.

- To chyba dobrze. Chyba dobrze – mruknął komendant.

Owinął się szczelniej w ciemnozielony płaszcz i poprawił ciężki pakunek na ramionach. Wiało jak wściekłe, górskie zbocza raz po raz wyły i warczały kolejnymi podmuchami, których odgłos zagłuszał całkowicie ludzkie kroki. Można by podejść na dwa kroki i bym nie zauważył, pomyślał gorzko. Co za różnica teraz. Jakie znaczenie miałby ewentualny skrytobójca. Żadne.

Koniec legendy i koniec mrzonek. Przegraliśmy tę wojnę i nie ma innej możliwości, niż uznać tę prawdę. Tak wskazuje rzeczywistość i tak powiedziały też siły nadprzyrodzone. Nie ma sensu rozlewać krwi w skazanych na klęskę zrywach. Przeczekamy to. Kiedyś musi nadejść kres ich potęgi....

Nie będziesz drugim Leifem.

Wiatr zawył, zawinał więc poję płaszcz, boleśnie trafiając na ostrą szpilę fibuli.

Znieruchomiał i zadrżał bynajmniej nie z zimna. Rozejrzał się po zboczach, wśród tracących powoli liście drzew. Nigdzie nie dostrzegł jej poszarzałej twarzy i ciemnych oczu, palących pełnym wyrzutu i gorączki spojrzeniem. Przełknął ślinę. Nie pożegnał jej wychodząc... Co zresztą miałby powiedzieć po tym wszystkim. Po tym, jak zbyt szybkim rozkazem zabił jej córkę, a potem odrzucił jej rady i prośby... Ona poświęciła wieczność, by walczyć, a on... Tak właśnie należało to nazwać, bez wielkich zbędnych słów. Zdradził.

Ale to nie było takie proste.

- Nie miałaś racji... – szepnął cicho – Ty już nie masz nic do stracenia, ale oni mają. To wszystko dla nich, dla żywych, pamiętasz? Za nich umierałaś. I to miało sens.

Ścieżka wiodła dalej ku górze, ku szczytom, ku murom kontrfortu. Tam dopiero zrzucił plecak, który zadzwonił metalicznie.

Wyjednany w ramach negocjacji pomnik poległych nie mógł wydawać się podejrzany nikomu. Ustawiony więc na forcie skromny obelisk ozdobiono runicznymi napisami, imionami tych, którzy na ziemi pod kamieniem oddali życie.

*Sigbert
Ingraine
Vela
Callan
Arden
Inga
Betram
Nivalfen
Mathlan
Geralt
Aoife
Strzała*

Venissa

Przechodniu, powiedz Północy, że tu leżymy jej prawom wierni.

Nie zauważył, ile czasu tak spędził, wpatrując się w te imiona i symbole. Gdzieś powoli rozmywały się w pamięci rysy twarzy przyjaciół, towarzyszy, tak jak pamięć walki na kontrfortcie powoli zapadała w ciemność, w beznadzieję, znużenie.

Dopiero zapadający zmrok przypomniał mu, że ma jeszcze coś do zrobienia. Odpakował narzędzia. Od kamiennych ścian dźwięcznym echem odbił się po chwili odgłos uderzeń młota o kamieniarskie dłuto. Obok napisów powstawał kolejny. Zaklęcie, które miało pozwolić otworzyć podziemną kryptę, wezwać ich znów do walki.

Gdyby jednak, błysnęła jak meteoryt myśl, gdyby ich wezwać, zamiast zawrzeć rozejm i składać broń, to jednak ruszyć do walki. Bez Wysokich Ziem, prawda. Ale przecież porozumienie z Samnią mogło być wciąż możliwe do realizacji, no i Terala przecież...

I co dalej... Rozsądek, który odezwał się w jego głowie, miał głos Aoife. Co dalej? Przecież w końcu wedrą się na Wysokie Ziemie, w końcu urzędzą tu pokazową masakrę i piramidy z ludzkich czaszek, jak to zrobili w Birce i w Wergundii. Albo spalą wszystko do gołej gleby, jak na Sliabh Ard. Terala nas nie uratuje. Samnia też nie... Wiesz o tym doskonale, Bryn, wiesz że tak będzie. Chcesz odpowiadać za morze krwi, jakie się wyleje?

Uklęknął przed kamienną stelą, przygnieciony ciężarem decyzji. Obok nie było już ani Ingraine, ani nikogo innego by podzielić z nim odpowiedzialność. Dłoń draśnięta fibulą bolała. Ktoś śpiewał...? Nie. To tylko wiatr wył.

Nadchodziła zimna jesień.

Khurd odprowadziła wzrokiem samotną postać, schodzącą z kontrfortu. Ani przez chwilę nie przestawała śpiewać, słysząc śpiewający wraz z nią wiatr zapamiętywała się w tym zgranym dwugłosie, pozwalając się nieść dźwiękom aż do granicy słyszalności przez ludzkie ucho. Przenikające ją zimno powodowało drżenie i gorączkę, to, co widziała oczami, już dawno przestało być do odróżnienia od tego, co widziała duchem. Kontury murów, zarys obelisku, pojedyncze gałęzie drzew... zlewały się w zamazyste maźnięcia szarości.

Nagle jak zgrzytnięcie paznokci o kamień, coś chrobotnęło drastycznie nieprzyjemnie w jej uszach. Rozejrzała się, próbując znaleźć źródło dźwięku, zrozumieć jego naturę. Nie był niesioną przez powietrze falą, czym więc był?

Spojrzała w kierunku wejścia do krypty. Wąziutkie szczeliny jarzyły się krwawoczerwonym światłem, niewidocznym dla oczu, jednak przecież ona doskonale widziała to, co niewidoczne. Cofnęła się przezornie poza załom muru i czekała.

W końcu ciężkie, kamienne wrota drgnęły, ukazując ciemną postać, otoczoną krwawą aurą.

- To nie jest w porządku – mruknął gniewnie pod nosem Olaf, poprawiając zieloną szarfę – Nie powinniśmy.

- Taaaak. Co ty nie powiesz – odpowiedział z przekąsem Eanraigh – Aoife miała rację i wiesz o tym doskonale. Zresztą, nic mu nie zrobimy.

Młody Borgh Du nacisnął głębiej na oczy wełniany kaptur i poprawił kaftan. Olaf nie wyglądał na przekonanego, ale nie dbał o to. Ani nie miał ochoty tłumaczyć się z porażki, ani też nie widział żadnego lepszego rozwiązania. Z niespodziewaną pomocą przyszła mu Mirina.

- Zdajesz sobie sprawę, że koniec końców ratujemy mu życie, nie...? – powiedziała cicho wzdychając – Przecież Qa go stąd nie wypuszczą, byliby szaleni, gdyby pozwolili mu przedostać się do brata albo dalej im bruździć. W sumie jarl ma rację, to jest wartościowy człowiek, wojownik o wielkim sercu, szkoda by go było, a tak kto wie, może w przyszłości... Gdy się spełni przepowiednia, może dane mu będzie coś jeszcze zdziałać.

- Sądzicie, że to za naszego życia się stanie...? – mruknął Harald, a jego pytanie przebrzmiało w półmroku nie uzyskawszy odpowiedzi.

- Dobrze, dość tego delibrowania. To jest hird, a nie jakaś pieprzona demokracja. Jarl wydał rozkaz, więc do roboty – warknął z irytacją Olaf, skinąłwszy głową do Eanraigha. Ruszyli truchtem pod murem dawnej gospody, jak stado nagle ożywionych cieni, otoczyli mieszkalną chatkę. Sprawnym ruchem „człowiek Leifa” doskoczył do okna i odblokował zasuwę. W środku wyraźnie dostrzegł kształt człowieka, śpiącego na łóżku, jego miecz stał oparty o krzesło w niebezpiecznie bliskim zasięgu. Zanim więc zeskoczył, upewnił się, że w jednym ruchu sięgnie do ostrza. Widział, co Terał potrafi zrobić klingą i nie zamierzał tak skończyć. Wypraktykowanym ruchem bezszelestnie zeskoczył na deski, upewniwszy się, że towarzysze zabezpieczyli i drzwi i okno, przechwycił miecz i doskoczył do postania, celując w nos dłonią z chustką, na której rozlano obezwładniający eliksir. Dłoń trafiła na miękkie.

Tryntyjczyk szarpnął koc i zaklął wyjątkowo szpetnie.

- Odupść – machnął do drzwi, w których ukazała się czarownica – Nie ma go tu. Wyczuł pismo nosem.

W leżącej na południe od Silbrfjell osadzie Nowa Wieś większość obecnych mieszkańców stanowili starcy, dzieci i kobiety. Mężczyźni i te kobiety, które umiały walczyć, pozostali po drugiej stronie nagle przeprowadzonej granicy – wcześniej podążyli bowiem na służbę do hirdu klanowego Killkeranów.

Jak wszystkie wioski w okolicy, Nowa Wieś stanowiła źródło kontyngentów żywności dla wojsk Qa rozłożonych w warownych obozowiskach wzdłuż głównych traktów i jak wszystkie pozostałe po tej stronie linii fortec, nie miała innego wyboru, jak podporządkować się zarządzeniom nowego władcy terenu. Wiadomość, że Qa zamierzają wyprowadzić armię na południe i że to dzięki rozejmowi, jaki wynegocjowali Borgh Du i Brynjolf Gunnarson, stała się kilka dni temu wielkim powodem do radości – dopóki nie okazało się, że nie wszystkie wojska wymaszerowują, a te, które zostają, wcale nie zamierzają zmniejszać wymagań jeśli chodziło o dostawy.

Kettil przeklinał w myśli, że pozwolił Brynowi iść samojeden na kontrfort. Należało chociaż z odległości go pilnować. Logiczne było, że nikt z Qa w tej chwili nie wydałby rozkazu przeciwko dowódcy partyzantki, ale jednak zawsze było możliwym, że zanim zdążyłby się przedstawić, umarłby od zbląkanej strzały czy bełtu. Czas leciał, było już dawno po zmroku.

Uwagę gijetera zwróciły krzyki na rozstaju dróg. Podeszedł do okna. Nocowali na poddaszu u gościnnych ludzi, tuż przy wjeździe do wioski, przy pięknej wiekowej kapliczce bogini Widy. Na trakcie roilo się od białych płaszczy Qa, dostrzegł też kilka złożonych oficerskich kołnierzy. Rzenie koni, dobiegające od lewej, od traktu ku Czerwonej Dolinie, zwiastowało też obecność Samnijczyków.

Przyszli po zapasy, skurczysyny, zgrzytnął zębami Kettil. Nagła złość sprawiła, że niemal rzucił się do leżącego na ławie meteorytowego miecza. Jednak natura służbisty zwyciężyła, rozkaz to rozkaz. Czekać. Zresztą, co miałby zrobić? Choćby i ściągnął resztę ludzi i pogonił ten oddział Qa na

zbity pysk... jutro mieli przystąpić do podpisania rozejmu. Zobowiązać się do zaprzestania walk. Za cenę oszczędzenia Wysokich Ziem... Cena wiele warta, to prawda, jednak nie dla tych, którzy pozostali poza wyznaczoną granicą.

Tymczasem na trakcie rozległy się wrzaski. Ktoś kogoś szarpał, jakaś kobieta wrzeszczała opętańczo, ktoś płakał. Hovgjeter wychylił się z okna. Kilku Samnijczyków, wyraźnie ignorowanych przez oficera Qa, wiązało ręce kilku młodzieńcom dziewczynom, które wrywały się i krzyczały. Kawalek dalej żołnierze trzymali pod bronią ich zapewne krewnych, próbujących powstrzymać koczowników. Dalej za nimi uwijał się kapłan Qa, z przyklękających przed nim z rezygnacją kolejnych ludzi można było wywnioskować, że to kolejni naznaczeni. Z kontekstu tulących się do siebie rodzin można było także domyślić się, że owe dziewczyny przy koniach, to córki z rodzin, które odmówiły naznaczeń. Kolejni żołnierze zaraz obok pakowali na wozy worki z mąką i kaszą. Przy wozach widać było też kilku ludzi, zakutych w coś w rodzaju dybów, przymocowanych do wozów. Jeden z nich coś krzyczał, dziewczyny płakały, Samnijczycy wiązali do siodła końce sznurów...

Kettil zaklął i złapał za rękojeść. Dalej poszło już samo, zupełnie jakby broń podsyciła samym dotykem skórzanego opłotu i błyskiem klingi chęć walki. Zbiegł ze schodów nie pamiętając nawet kiedy. Gdy wypadł na podwórze, większość oddziału już tam była, nie musiał nawet wydawać rozkazu. Wybiegli z bramy z bronią gotową do walki prosto na zaskoczonych koczowników. Qa skoczyli owym z pomocą, błysnęły zaklęcia. Potężna fala odepchnęła cywilów, jęk i krzyk bólu zwiastował poważne obrażenia i połamania. Ludzie Bryna ruszili do ataku...

- Stój! – krótki, wykrzyczany potężnym głosem rozkaz przebił się przez harmider na placu i sprawił, że znieruchomieli tak jedni jak i drudzy – Stać... – powtórzył Brynjolf już ciszej, schodząc powoli z prowadzącej ku góróm ocienionej ścieżki. Wojownicy znieruchomieli w pół ciosu, Qa skorzystali z okazji i cofnęli się na wygodniejsze pozycje za wozy – Co tu się, do cholery, dzieje?

- Brynjolfie Gunnarsonie! – odrzyknął Raoq, kapłan chwilę temu naznaczający nowych „wiernych” – Twoi ludzie złamali warunki rozejmu! Zaatakowali działających zgodnie z prawem naszych żołnierzy. Jeśli tak ma wyglądać...

- Osz skur.... – Kettil uniósł miecz, ale gest dowódcy go powstrzymał.

- Cofnijcie się – powiedział Bryn do swoich, którzy z oporami wykonali rozkaz – A teraz wy - zwrócił się do kapłana, najwyraźniej pełniącego rolę dowódcy – Wypuścić tych ludzi, ale już – krzyknął tonem, jakby mógł im wydawać rozkazy. Qa roześmiał się.

- Nie pomyliło ci się coś, Tryntyjczyku? – zakpił – Chyba nie ty jesteś na tej ziemi w pozycji do wydawania rozkazów.

- Nie jestem? – Bryn mówił spokojnie i pewnie, tak, że Raoq zaczynał tracić rezon – To policz proporcje wokół siebie i zastanów się, kto w razie czego wyjdzie stąd żywy...

- Wtedy wasz wynegocjowany rozejm szlag jasny trafi! – krzyknął kapłan ze złością. Rzut oka na spięte wściekłością twarze górali, czekających tylko na rozkaz ataku, uświadomił mu, jak bardzo Brynjolf ma rację.

- Właśnie – chłodno odpowiedział Tryntyjczyk, a Raoq automatycznie pomyślał o reakcji tlatone na wieść, że okupione ranami i trudami porozumienie rozbiło się o jakąś wioskową awanturę. Zgrzytnął zębami i zamasyście machnął ręką.

- Ilotchia! – krzyknął – Odłóżć i wymarsz! Brać tylko zboże!

Stojącego na środku z tarczą na plecach i mieczem w dłoni Bryna ominęła kolumna żołnierzy, prowadzących konie przy wozach. Niechętnie uwolniono rozhisteryzowane dziewczęta. Samnijczycy z widoczną wściekłością za pozbawienie ich jasyru wykrzyczeli coś do kapłana i galopem odjechali ku Silbrfjell.

Raoq podszedł bliżej. Przewyższał Tryntyjczyka o głowę, a przez pióropusz wydawał się jeszcze wyższy, ale to Bryn patrzył na niego z góry.

- Synowie i córki Tryntu do was nie należą, kapłanie – powiedział powoli – Ten rozejm tego nie zmienia.

Qa zaśmiał się się wymuszenie, ale szybko spoważniał i wysyczał przez zęby:

- Doprawdy. Jutro wasi ludzie wyjdą z lasów i złożą broń. Otrzymają amnestię i wybaczenie za walkę przeciw nam, wrócą do domów i rodzin. Jednak umknęło ci chyba coś, jeśli sądzisz, że wszystko na tej ziemi nie należy do nas. Ja poczekam do jutra. A wtedy gdy następna wioska zechce się stawiać przy zbieraniu danin, nakładaniu naznaczeń czy jakimkolwiek kaprysie namiestnika, pójdzie z dymem, a ludzie w dyby. W najlepszym razie. I żaden z was tego nie zmieni, bo nie będziecie mieli już broni ani kryjówek. Ale zawsze możesz odejść na Wysokie Ziemie, tam owszem, na razie nie będzie takich zabaw. Zrozumiałeś, Tryntyjczyku....?

- Wynocha – warknął Bryn, z trudem panując nad sobą – Won zanim stracę cierpliwość.

Nim Qa zniknął w mroku, wyłapał spojrzenie Kettila, mieszaninę wściekłości, bezsilności i rozpacz. Z brzdękiem huknęło o ziemię ciśnięte ze złością meteorytowe ostrze.

- Panuj nad sobą – powiedział cicho Bryn, kładąc mu dłoń na ramieniu - Miecz się jeszcze przyda...

- Po co...?

- Wiem, że to ciężkie, ale wytrzymamy. Wytrwamy do chwili kiedy przyjdzie właściwy dzień...

- Jesteś pewien? – góral podniósł wzrok spod opuszczonego czoła – Jesteś pewien, że wytrzymamy? I że gdy nadejdzie, będzie jeszcze o co walczyć....?

Nie, Kettil, nie jestem pewien, pomyślał, w milczeniu znosząc jego wzrok. Owinął się płaszczem i znów zahaczył o fibułę. Po dłoni spłynęła mu ciepła kropla krwi.

- Dziękuję... – wyszeptała Ingraine, pokonując dygoczące zęby – Jestem twoim dłużnikiem, Inga.

Czarownica uśmiechnęła się kącikiem ust. Rozumiała. Całym sercem rozumiała i współczuła, jak każda jej podobna, odbierała ludzkie uczucia całą sobą, chłonęła je i przepuszczała przez własny umysł, niejednokrotnie się nimi trując. Teraz rozpacz matki, która chce pochować dziecko, była dla niej banalnie i prosto zrozumiała.

- Nie ma sprawy – nachyliła się nad kręgiem, w którym nakreślone runy i ogham odbierały siły i usypiały – Idź, zrób co musisz, a kiedy wrócisz, zaśniesz wreszcie. Zasłużyłaś na sen, jak my wszyscy.

- Tak... – w głosie Tryntyjki było coś niepokojącego, ale Inga za późno to rozumiała – Przepraszam cię, naprawdę.

Zanim zdążyła zapytać, za co, silniejsza towarzyska pchnęła ją prosto w krąg. Zaskoczona, nie zdołała już odbić mocy, która opuściła ją w przeciągu kilku sekund.

Ingraine upewniła się, że Wergundce nic nie jest i odetchnęła. Poprawiła miecz, zarzuciła na plecy tarczę. Spojrzała jeszcze raz na kazamatę... jedyny dom, jaki pozostał. Znienawidzone miejsce śmierci i rozpacz, ponurą karykaturę prawdziwego domu. Rzeczywistość, sen, koszmar... wszystko powoli mieszało się w umyśle. Gdzieś z góry dochodziło potężne wycie wichru. Po milczącym pomieszczeniu w nikłym świetle świec przemykały cienie, szczerząc kły i sycząc, patrzyły na nią wielkimi błękitnymi oczyma Kiary. Kamienne ściany zdawały się falować i zaciskać. Cały czas miała wrażenie, że za plecami słyszy szcęk mieczy, uderzenia tarcz. Dłoń ślizgnęła się na mieczu, jak zakrwawiona, więc spojrzała. To nie była krew, to było tłuste gliniaste błoto Wzgórza...

Załkała bezgłośnie, bez łez, kryjąc twarz w brudnych dłoniach.

Czy to była rzeczywistość? Utracona dawniej, oplakana i odżałowana, nagle pojawiła się przed nią Kiara, migoczące złudzenie w grze cieni na ścianie. To był sen. Koszmar, powtarzający się jak wymierzana raz po raz kara. Ile razy można przeżywać śmierć własnego dziecka...? Zapewne przez wieczność. To nie mogło być prawdziwe, upewniła samą siebie. Odetchnęła głęboko.

- Wiem, że mi tego nie wybaczysz tym razem – szepnęła, zupełnie jakby śpiący adresat tych słów mógł ją słyszeć – Widocznie tak miało być. Ale muszę choć spróbować naprawić to wszystko... Obiecałeś mi... Przysięgłeś mi zemstę za Sliabh Ard, pamiętasz?

Samo wypowiedzenie tych słów uruchomiło w jej pamięci całą sekwencję obrazów, od poczeriałego krateru i mdlącego smrodu spalonych ciał aż do chwili, gdy samnijska szamanka wywołała znów ten obraz, zmuszając do opadnięcia na kolana. Niemal fizycznie odczuła szarpnięcie za ramiona, podrywające ją wtedy do góry i wykrzychaną przysięgę.

- Jesteś mi to winien... – westchnęła, tłumiąc łkanie, które nią szarpało na przemian z zimnem – Ja wrócę, tylko naprawię to... Że uwierzyłam w niewłaściwego człowieka... Wrócę. Wybacz...

Zrobiła kilka kroków ku wyjściu, ale zatrzymała się gwałtownie. Odwróciła ku miejscu, gdzie leżała Aoife. Wysokie Ziemie, za które wszyscy polegli, zdradziły. Porzuciły walkę o resztę kraju, zamykając się w wywalczonym nie tylko swoją krwią skrawku ziemi, wywalczonym poświęceniem wielu, ludzi z Przedgórza, Wergundów, innych nacji. Ułożyli się z wrogiem, zapewniając sobie bezpieczeństwo, skazując na zagładę sojuszników, a swoich rodaków z południa na wieczną niewolę.

Walka o fort, a wcześniej desperackie próby jednoczenia tryntyjskich hirdów, wszystko wydało się jej nagle bezcelowe. Bezsensowne.

Umarła za ideę, która nie miała znaczenia.

Nagła złość zalała czerwienią obraz. Ingraine uniosła miecz...

Khurd nie bała się duchów. Żadna z sióstr się nie bała. Jednak szkarłatna aura otaczająca tę zjawę napawała ją niepokojem. Dreszcz przeszedł ją na samo wspomnienie.

- Jest pełna gniewu i rozpacz – stwierdziła – Nie jestem też pewna, czy przypadkiem te uczucia nie są z czymś połączone...

- Rany, ja przepraszam, strasznie przepraszam – załkała Inga, podnosząc się z podłogi – Uwierzyłam jej, prosiła tylko żeby poczekać, chciała pochować swoje dziecko... Nie wiedziałam...

- To nie twoja wina – mruknął Sigbert, w zamyśleniu patrząc w ciemność dziedzińca.

- Ano pewnie że nie twoja – uśmiechnęła się Samnijka – Ale ona nie poszła tam, gdzie leży ciało małej Kiary.

- A dokąd poszła?

- To nie oczywiste, jarlu? – Khurd fuknęła dziecinnie – Do warowni pod Silbrfjell.

- Chce walczyć dalej...? – Tryntyjczyk znał doskonale odpowiedź na własne pytania, ale łudził się, że może czarownica udzieli jednak innej. Nie udzieliła.

- Ależ tyś niedomyślny. Jasne, że chce. Nie ona jedna – Khurd spojrzała na niego poważniejąc – Wergundowie, którym rozkazałeś zasnąć, śnią o kraju, do którego nie wrócą, jeśli nikt nie zanieśie tam tablicy i znaków i rogu. To nie są dobre sny. Tam, w wichurze błędzi uparty Teral, który wciąż chce walczyć. Szuka wejścia tutaj, szuka ciebie – Sigbert zadrżał, słysząc jej głos. Oczy widzącej nagle uciekły w tył głowy, jak w jakimś spazmie – Szuka desperacko ratunku dla swoich bliskich, dla swego kraju, gotów na wszystko. Znasz to uczucie...? Na pewno? Zaraz go dorwą, bo pościg już blisko ... Pościg idzie za nim, ludzie i potwory. Ale on się potworów nie boi. Ciebie też się nie boi. A ty, boisz się jego, jarlu? Powinieneś. Ciemność zapada nad ziemiami. Nie ma odwrotu od wyroku. Czas jaguara, czas krwawego słońca. Błędy drogo kosztują, bohaterze spod Arden. Kosztują zmarnowaną wieczność, jeśli nie odróżnisz przyjaciela od wroga, wierności od zaślepienia,

posłuszeństwa od bierności... i zdrady od desperacji.... Co zrobisz, jarlu hirdu mgieł, gdy zabrzmi róg.... ? Co zrobisz, jeśli nie zabrzmi...?

W kazamacie zapadła cisza. Tryntyjczyk patrzył na nią wzrokiem pełnym przejęcia i złości. W bezsilnym geście uderzył pięścią o kamienie.

- Nie prosiłem się o to dowodzenie – warknął – To Bryn podejmuje decyzje, nie ja...

Khurd zaśmiała się lekko histerycznie, aż Inga podniosła na nią załzawione oczy.

- Brynjolf... ten wybrany...

- Tak, dokładnie on. Tak, wiem, że popełnił błąd... Ale... Nie ma innego przywódcy.

- Tego też za chwilę nie będzie... – zachichotała upiornie wiedźma.

- Khurd, dokąd ona poszła...? Co ona chce zrobić...? – wyszeptała Wergundka z przerażeniem, znając odpowiedź.

- Zabić go, oczywiście. Zabić Brynjolfa.